

BOLESŁAW LEŚMIAN

ALI-BABA I
CZTERDZIESTU
ZBÓJCÓW

Bolesław Leśmian
Ali-baba i czterdziestu zbójców

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23554538

Ali-baba i czterdziestu zbójców:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

21

Bolesław Leśmian

Ali-baba i czterdziestu zbójców

W jednym z pomniejszych miast perskich mieszkali dwaj bracia. Starszy nazywał się Kassim, a młodszy – Ali-Baba. Ojciec, umierając, zostawił im w spadku szmat ziemi niewielki dla równego podziału¹. Każdy z braci swoją część otrzymał i na niej osiadł, aby ziemię uprawiać i na kawałek chleba żmudnie, w pocie czoła pracować. Obydwaj żyli w ubóstwie i wspomagali siebie nawzajem. Ale nie długo trwała miłość pomiędzy braćmi. Odmienny bowiem mieli charakter i różne dusze. Kassim był zły, pochmurny, zawistny i na dukaty łakomy, Ali-Baba zaś był łagodny, wesoły, nikomu bogactw nie zazdrościł i nie pragnął złota. Kassim narzekał na los, na ludzi i na swoje ubóstwo, Ali-Baba zaś na los nie narzekał, ludzi kochał i nie wstydził się swego ubóstwa. Kassim pomalował swoją chałupę na czarno i rzekł do Ali-Baby:

– Życie jest czarne, los jest czarny i dusze ludzkie są czarne, więc niechże i moja chałupa będzie czarna jak noc.

Ali-Baba zaś swoją chałupę pięknie i jasno pobielił i rzekł do Kassima:

– Życie jest białe, los jest biały i dusze ludzkie są białe, więc

¹ dla równego podziału – dziś popr.: do równego podziału. [przypis edytorski]

niechże i moja chałupa będzie biała jak dzień o świcie.

I każdy miał taką chałupę, jakiej sam zapragnął.

Kiedy Kassim ze swojej czarnej chałupy wchodził do białej chaty swego brata, wruszał ramionami i mówił z zazdrością:

– Jakże tu jasno i białe i wesoło! Widocznie Bóg się tobą bardziej, niż mną, opiekuje... O mnie zupełnie zapomniał. Smutno mi na świecie i czarno i markotnie.

Na to Ali-Baba odpowiadał:

– Nie składaj winy na Boga, bo to nie Jego, lecz twoja własna wina. Bóg ci nie kazał chałupy na czarno malować i smucić się w jej wnętrzu. Przemaluj ją na białe, a zobaczysz, jak się oczy twoje rozwesela.

Ale Kassim nie usłuchał rady młodszego brata i nadal mieszkał w czarnej chałupie.

Pewnego poranku postanowili obydwaj bracia ożenić się i tegoż dnia wieczorem już byli żonaci. Ali-Baba wziął za żonę ubogą Zobeidę, córkę swego sąsiada, Kassim zaś wziął za żonę bogatą Aminę, córkę słynnego w mieście kupca. Natychmiast Kassim spalił swoją czarną chałupę, która mu tak obrzydła, i zamieszkał razem z piękną Aminą w olbrzymim pałacu w samym środku miasta.

Ali-Baba udał się wraz ze swoją ubogą Zobeidą do pałacu Kassima, żeby mu powinszować bogatego ożenku. Drzwi pałacu były zamknięte, więc Ali-Baba laską do drzwi zapukał. Kassim usłyszał pukanie i domyślił się, że to Ali-Baba przyszedł

w odwiedzin. Nie kazał jednak drzwi otworzyć, jeno² sam wybiegł na krużganek pałacu i stamtąd dumnie i wyniośle spojrzął na Ali-Babę, który wraz z żoną stał na ulicy i, radośnie uśmiechnięty, witał brata pokłonem.

Nie odklonił mu się Kassim, jeno się sztywnie wyprostował, pusząc się i nadymając od nadmiernej pychy.

– Kassimie, bracie kochany! – zawołał Ali-Baba, podnosząc ku niemu głowę – przychodzę wraz z moją żoną Zobeidą, aby ci powinszować bogatego ożenku i życzyć szczęścia i powodzenia!

– Jak śmiesz nazywać mnie bratem? – krzyknął gniewnie Kassim. – Nie znam ani ciebie, ani twojej żony! Chodzisz w łachmanach i masz minę nędzarza, więc nie możesz być bratem takiego, jak ja, bogacza!

– Kassimie, bracie rodzony! – zawołał znowu Ali-Baba – Czy ci się rozum pomieszał? Czy też udajesz tylko, że mnie nie poznałeś? Nie żądam od ciebie złotych dukatów, jeno pragnę miłości braterskiej! Nie przychodzę z prośbą o wsparcie, lecz z życzeniami szczęścia i powodzenia! Czemu ze wstrętem odwracasz się od moich łachmanów? Przecież te łachmany starannie i przychylnie osłaniają ciało twego brata od deszczu i chłodu! Więc powinieneś szanować i cenić moje łachmany za to, że są dla mnie tak przyjazne i tak opiekuńczo przylegają do mego ciała.

Zaśmiał się na to Kassim – i śmiech natychmiast rozweselił, rozpogodził i rozjaśnił jego duszę. Udobruchany śmiechem,

² jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

rzekł Kassim z krużganka do Ali-Baby:

– Śmieję się z tego, że tak szczerze wychwalasz swoje łańchmany. Ponieważ widzę, że mnie naprawdę kochasz, więc ustępuję twoim żądaniom. Pozwalam ci odwiedzać siebie, ale bardzo rzadko i tylko wieczorem. Wieczorem bowiem świat się ściemnia i ściemniają się postacie przechodniów. W zmierzchu wieczornym możesz niepostrzeżenie wejść do mego pałacu. Nie chcę, aby ktokolwiek zauważył, że taki jak ty nędzarz odwiedza mnie w moim pałacu. I w tej chwili nie mogę cię przyjąć, bo mam bogatych gości. Wstyd by mi było, gdyby goście moi dowiedzieli się, że mam brata nędzarza. Wracaj więc razem z swoją żoną Zobeidą do chałupy. Odwiedzisz mnie kiedy indziej, w czasie odpowiedniejszym.

Pokłonił się Kassimowi Ali-Baba i pokłoniła się Zobeida. Wzięli się oboje za ręce i podybali³ do swojej białej chałupy. Odtąd Kassim spędzał życie w pałacu, na ucztach nieustannych. Ali-Baba zaś co dzień pędził do lasu dwa muły, rąbał w lesie drwa, narąbanym drzewem objuczał swoje muły, wracał z nimi do miasta i sprzedawał drzewo na targu. W ten sposób zarabiał na kawałek chleba. Lecz ów ciężko zarobiony chleb przyjemnie mu było spożywać w białej, jasnej, wesołej chałupie.

Smakował chleb Ali-Babie i smakował Zobeidzie. Oboje byli szczęśliwi i wieczorem po ukończonej pracy śpiewali pieśni rozmaite. Kassim jadł dużo i spał na łożu puchowym, ale żadnych pieśni nie śpiewał.

³ *podybać* (reg.) – pójść, udać się. [przypis edytorski]



Razu pewnego popędził Ali-Baba swe muły do lasu, aby swoim zwyczajem wiązkami narąbanego drzewa objuczyć ich pracowite grzbiety. Dzień był pogodny. Słońce świeciło tak jasno i złościście, że trzeba było mrużyć oczy. Ali-Babie się zdawało, że ptaki, śpiewając, też mrużą na słońcu swoje błękitne i czerwone oczy w żółtych i czarnych obwódkach. A w lesie roiło się od ptaków.

Papugi pąsowe, zielone i białe napełniały powietrze krzykiem, podobnym do szczekania.

Jedna olbrzymia papuga pąsowa, zwana Arą pąsową, mówiła w języku papuzim do swojej zielonej sąsiadki:

– Jak możesz ciągle chodzić w zielonej sukni! Ja bym za żadne skarby świata nie przywdziała nie tylko zielonej sukni, lecz nawet zielonego stanika. Nie znoszę koloru zielonego. Najładniejsza jest suknia pąsowa z pąsowym ogonem. – I, mówiąc to, poruszyła z lekka swoim pąsowym ogonem.

Na to rzekła zielona papuga:

– Nie znoszę koloru pąsowego! Ani moja matka, ani moja babka, ani moja prababka nie nosiły sukien pąsowych. Kolor pąsowy od dawna wyszedł z mody, przynajmniej w naszej rodzinie. Kto mieszka w lesie, powinien być zielony, jak las! Najładniejsza jest suknia zielona z zielonym ogonem. – I, mówiąc to, poruszyła z lekka swoim zielonym ogonem.

Wówczas jedna z białych papug wtrąciła się do rozmowy.

– Nie kłóćcie się, moje kochane! – zawołała ze śmiechem. – Boję się, że kłótnia pobudzi was do złości, a złość może odmienić wasze kolory!... Sama na własne oczy widziałam miesiąc temu, jak jedna pąsowa papuga ze złości zzieleniała, a druga zielona – spąsowiała. Co do mnie, nie znoszę ani pąsowej, ani zielonej sukni. W mojej rodzinie istnieje przysłowie:

W życiu jeden tylko cel:

Białym być i kochać biel.

Tak, moje pąsowe i zielone kumoszki! Najładniejsza jest suknia biała z białym ogonem. – I, mówiąc to, z lekka poruszyła swoim białym ogonem.

Ali-Baba nie rozumiał języka papuziego. Zdawało mu się, że papugi tylko szczekają bez sensu i bez związku. Szedł dalej, poganiając swe muły. W oczach migały mu co chwila kolibry – ptaszki małe, jak chrabąszcze, z dziobkami cienkimi, niby igły. Na gałęziach tu i ówdzie siedziały małpki drobne i płochliwe. Małpki te w dziób układały swe pyszczki i głośno gwizdały, zupełnie, jak kanarki. Gdyby Ali-Baba znał język tych małpek, zrozumiałby piosenkę, którą gwizdały:

„Las dokoła szumi, gwarzy,

Opowiada bajki-straszki.

Choć nam nie brak małpiej twarzy,

Chcemy gwizdać, niby ptaszki.

Po jeziorze płynie woda,
Śpiew nasz płynie hen – po świecie.
Co za szkoda, co za szkoda,
Że nam skrzydeł brak na grzbiecie!”

Tak śpiewały małpki.

Słońce świeciło coraz mocniej. Cienie od gałęzi padały na ziemię i poruszały się na niej, niby żywe. Kwiaty, zagrzane słońcem, pachniały. Ali-Baba szedł dalej, pędząc przed sobą swoje muły.

W ten sposób zaszedł w głąb lasu – w najdalsze szумы i gąszcze. Tam ujrzał skałę olbrzymią. Od skały cień padał na polanę leśną. Lecz cień skały nie poruszał się za wiatrem, jak cienie drzew. Leżał nieruchomo i zasłaniał trawę i kwiaty. A że cień skały był błękitny, więc i trawa i kwiaty nabrały od tego cienia błękitnawej barwy.

– Odpocznę sobie w cieniu tej skały – pomyślał Ali-Baba – a potem zabiorę się do rąbania drzewa.

Ali-Baba przysiadł w cieniu skały. Obydwa muły przystanąły obok Ali-Baby i zaczęły szczypać soczystą, wysoką, wonną trawę.

Ali-Baba patrzył na słońce, na drzewa, na ptaki i mówił:

– Żaden pałac nie jest tak piękny, jak las. W pałacu płoną świece albo lampy, a w lesie płonie samo słońce. W pałacu stoją martwe meble, piętują się martwe ściany, a nad nimi trwa zawsze jednaki martwy sufit. W lesie zaś szumią żywe drzewa, śpiewają żywe ptaki, brzęczą żywe owady, pachną żywe kwiaty

– i ponad tym wszystkim, zamiast martwego sufitu, jaśnieje żywe niebo, które się wiecznie zmienia, napełniając się coraz to nowymi blaskami i obłokami. Żaden ptak, żaden obłok, żaden wichur nie zamieszkałby nawet w najpiękniejszym pałacu. Tylko człowiek lubi więzić siebie w czterech ścianach. I jeżeli te ściany są złote, wówczas nazywa swoje więzienie pałacem. Im więzienie jest mniejsze, tym mniej zabiera miejsca na świecie. A świat jest piękny i dla każdego dostępny. Pełno na świecie bajek – ale najpiękniejsze bajki kryją się w lesie. Bajki czają się w gęstych krzakach, szumią w rozchwianych gałęziach, dzwonią w powietrzu wtedy właśnie, kiedy i cisza dzwoni. Bo kto się ciszy długo przysłuchiwał, ten wie, że cisza w uszach dzwoni.

Mówiąc te słowa, Ali-Baba zaczął się tak długo przysłuchiwać ciszy leśnej, aż zadzwoniła mu w uszach. Potem Ali-Baba ukląkł i szepnął:

– Boże! Zrób tak, żeby mnie w lesie zaskoczyła nagła i niespodziana bajka! Niech ta bajka będzie straszna i groźna, byleby była ciekawa i piękna.

Muły, widząc, że Ali-Baba klęczy, też pokłękąły na przednich nogach, jakby modliły się o bajkę.

W tej chwili w gęstwinie leśnej coś zaszumiało, zachrząściło, zatętniło i zadudniło.

Obydwa muły jednocześnie podniosły się z ziemi i, złęknięte, przytuliły się nawzajem do siebie. Ali-Baba przypadł uchem do ziemi i nasłuchiwał... Ponieważ Ali-Baba przywykł do wsłuchiwania się w ciszę leśną, więc miał ucho wprawne i

czujne na wszelkie odgłosy. Toteż natychmiast rozróżnił tętent kopyt końskich. Tętent zbliżał się i zbliżał, i zbliżał... Ali-Babie zdawało się na razie, że pędzą dwa konie. Potem zgadywał, że jest ich dziesięć. Potem zrozumiał, że tak głośny tętent może pochodzić co najmniej od dwudziestu albo i więcej, niż dwudziestu, rumaków. Wówczas skoczył na równe nogi i pomyślał, że lepiej się ukryć, bo nie wiadomo, kto na tych rumakach nadjeżdża. Przede wszystkim ukrył obydwie swoje muły w krzaku i przywiązał do krzaka tak, aby się nie mogły poruszyć. Następnie sam wdrapał się na drzewo, które rosło obok skały. Drzewo było tak gęste, że zasłoniło Ali-Babę swymi gałęzmi. Mógł więc spokojnie siedzieć na drzewie i patrzeć poprzez liście na polanę.

Tętent koński wciąż się zbliżał. Ziemia drżała i grzmiała od tego tętentu, a echo niosło go po lesie. Wreszcie z gęstwiny leśnej wynurzyła się jedna morda końska, za nią druga i trzecia... Po chwili kilkudziesięciu jeźdźców wpadło na polanę. Wszyscy byli brodaci i wąsaci. Wszyscy byli zbrojni w miecze, siekiery i łuki. Wszyscy, pochyleni na koniach, strasznie i groźnie mruczeli pod wąsami:

– Jest nas czterdziestu... jest nas czterdziestu... jest nas czterdziestu!

Ten zaś, co jechał na przedzie, jeszcze straszniej i jeszcze groźniej pomrukiwał:

– Jam jest⁴ kapitan zbójów... jam jest kapitan zbójów... jam

⁴ *jam jest* – dziś: ja jestem. [przypis edytorski]

jest kapitan zbójów!...

Ali-Baba poprzez liście szumiącego drzewa policzył zbójów – i rzeczywiście było ich czterdziestu. Oczy ich błyszczały, jak rozżarzone węgle, a sumiaste wąsy poruszały się od ciąglego gniewu. Wszyscy podjechali do skały i zsiadli z rumaków. Wówczas Ali-Baba zauważył, że rumaki zbójckie były objuczone kufkami, napełnionymi po brzegi niezliczoną ilością dukatów. Zbójcy bowiem grabili ludzi po drogach i po rozstajach i zagrabionym złotem ładowali swoje kufry.

– Ciekawy jestem, gdzie oni pochowają swoje skarby? – pomyślał Ali-Baba na drzewie.

Tymczasem kapitan, trzymając konia za uzdę, spojrzał surowo na swoich podwładnych i zapytał:

– Czy wszyscy jesteście? Czy żadnego z was nie brak?

– Jest nas czterdziestu wraz z tobą! Żadnego nie brak – żadnego nie brak – żadnego nie brak! – zawołali chórem zbójcy.

Wówczas kapitan zbliżył się do skały i rzekł głosem grzmiącym:

„Jest tu brama w skale,
I są czary w bramie!
Ku swej własnej chwale
Otwórz się, Sezamie!”

Pod wpływem tych słów magicznych i zaklętych na gładkiej ścianie skalnej zjawiła się brama, jakby ją narysowała nagle ręka niewidzialna. Rysunek bramy stawał się coraz wyraźniejszy, aż

wreszcie zgrzytnęły zawiasy, i brama rozwarła się na oścież. Kapitan stanął u wejścia, a zbójcy, dźwigając swe kufry, kolejno wchodzili przez bramę do wnętrza skały. Gdy wszedł ostatni zbójca, kapitan za nim wsunął się do wnętrza. Wówczas brama się zamknęła i zaczęła się stawać coraz mniej wyraźna, coraz bardziej mglista, aż wreszcie pozostał na skale zaledwo widoczny rysunek bramy. Po chwili i rysunek zniknął bez śladu. Nikt by teraz nie poznał, patrząc na skałę, że tai się w niej czarodziejska brama. Skała wyglądała jak dawniej, niby zwykła i wcale nie zaklęta skała.

Ali-Baba siedział na drzewie, pełen strachu, podziwu i ciekawości. Teraz zrozumiał, że zbójcy ukrywają swoje skarby we wnętrzu skały, zwanej Sezamem. I zrozumiał, że Sezam otwiera swą bramę tylko przed tym, kto zaklęty czterowersz w głos⁵ powie. Słowa zaklętego czterowersza brzmiały mu w myśli raz po raz i tak je często powtarzał, aż wreszcie nauczył się ich na pamięć.

Nie schodził jednak z drzewa, gdyż bał się, że zbójcy co chwila⁶ mogą wyjść z wnętrza skały na polanę. Siedział więc cierpliwie wśród gałęzi, pomiędzy ptakami, które wprost do ucha śpiewały mu swoje pieśni.

Upłynęło czasu ani mało, ani wiele, jeno tyle właśnie, ile upłynęło. Naraz zgrzytnęły niewidzialne zawiasy i skała znowu się rozwarła na oścież. Zbójcy wyszli z jej wnętrza

⁵ w głos – dziś: na głos. [przypis edytorski]

⁶ co chwila – tu: w każdej chwili. [przypis edytorski]

kolejno, jeden po drugim. Każdy dźwigał pusty kufer, aby go w ponownych grabieżach napełnić dukatami. Na ostatku wynurzył się z rozwartej bramy sam kapitan i brama natychmiast za nim się zamknęła. Miała ona bowiem od wieków taki zwyczaj, że zamykała się sama w chwili, gdy właśnie powinna się być zamknięta. Lecz otwierała się tylko pod tajemniczym nakazem zaklętego czterowersza.

Kapitan spojrzał groźnie na swych podwładnych, zmarszczył brwi, błysnął oczami, zgrzytnął zębami, poruszył wąsem, tupnął nogą o ziemię i zawołał:

– Czy gotowi jesteście do nowych grabieży, do nowych napadów i do nowych czynów krwiożerczych?

– Jesteśmy gotowi – jesteśmy gotowi – jesteśmy gotowi! – odkrzyknęli chórem zbójcy.

– Czy żadnego z was nie brak? – zapytał znowu kapitan.

– Żadnego nie brak – żadnego nie brak – żadnego nie brak! – odkrzyknęli chórem zbójcy.

Wówczas kapitan skinął dłonią – i wszyscy natychmiast i jednocześnie dosiedli swych rumaków. Rumaki ruszyły z kopyta, ziemia zadudniła, las zahuczał, echo rozległo się po lesie. Zbójcy, odjeżdżając, mruclili strasznie i groźnie pod wąsem:

– Jest nas czterdziestu – jest nas czterdziestu – jest nas czterdziestu!

A kapitan pomrukiwał jeszcze straszniej i groźniej:

– Jam jest kapitan zbójów – jam jest kapitan zbójów – jam jest kapitan zbójów!

Po chwili wszyscy zanurzyli się w gęstwą leśną i tętent kopyt końskich zaczął się oddalać. Oddalał się i oddalał, aż wreszcie zamilkł i ucichł zupełnie.

Wówczas dopiero Ali-Baba zsunął się z drzewa na ziemię, odwiązał muły, wywiódł je z krzaków i wraz z nimi zbliżył się do skały.

– Nigdy nie wiadomo, gdzie się bajka kryje! – zawołał Ali-Baba, oglądając skałę. – Zdawało mi się dotąd, że bajki najczęściej kryją się w strumieniach, kwiatkach, gwiazdach i w obłokach. Na skały zaś patrzyłem zazwyczaj jak na rzeczy martwe, puste i bez bajek. Tymczasem pierwsza bajka, do której w życiu się zbliżam, ukryła się w skale.

Powiedziawszy te słowa, Ali-Baba pogłaskał ręką skałę twardą i zimną i zawołał.

„Jest tu brama w skale,
I są czary w bramie!
Ku swej własnej chwale
Otwórz się, Sezamie!”

Natychmiast na gładkiej ścianie skalnej zjawił się niejasny i mglisty rysunek bramy. Rysunek stawał się coraz wyraźniejszy i dokładniejszy. W końcu rysunek zamienił się w prawdziwą olbrzymią bramę. Wówczas zgrzytnęły zawiasy i brama rozwarła się na oścież. Ali-Baba stanął w bramie i zajrzał do wnętrza jaskini. Spodziewał się zobaczyć ciemność zupełną – ale się omylił. Jaskinia wcale nie była ciemna, lecz, przeciwnie – jasna,

a nawet bardzo jasna.

– Nigdy nie wiadomo, gdzie panuje ciemność, a gdzie jasność! – pomyślał Ali-Baba. – Byłem pewien, że właśnie we wnętrzu tej skały panuje ciemność, i już żałowałem, że nie mam przy sobie latarni albo świecy. Tymczasem nigdy jeszcze nie oglądałem takiej dziwnej, cudownej i tajemniczej jasności jak w głębi tej jaskini.

Mówiąc to, popędził przed siebie muły do wnętrza jaskini i sam wszedł za mułami. Brama natychmiast zamknęła się za nim. Co za cuda, co za dziwy ujrzał Ali-Baba we wnętrzu zakłętej jaskini! Ujrzał kufry, napełnione dukatami; ujrzał całe stosy kamieni drogocennych; ujrzał drzewa koralowe i olbrzymie pnie zielonego malachitu. Ale to wszystko żyło i poruszało się nieustannie. Brylanty same przesypywały się z brzękiem i szmerem z jednej szkatuły do drugiej. Turkusy, niby krówki boże, zręcznie i zwinnie wpełzały na drzewa koralowe i sfruwały potem z gałązki na gałązkę. Rubiny razem z topazami kręciły się i wirowały po ziemi w jakimś dziwnym rubinowo-topazowym tańcu. Dukaty, dzwoniąc w kufrach, bawiły się nawzajem w orła i reszkę: same podrzucały się w górę i same spadały do swoich kufrów, ukazując orła albo reszkę. Olbrzymie zaś pnie zielonego malachitu mówiły do siebie basem:

– Jaka szkoda, że i my nie możemy się bawić w orła i reszkę albo wirować po ziemi w tańcu rubinowo-topazowym, albo na kształt turkusów wpełzać na drzewa koralowe, albo wreszcie przesypywać się z brzękiem i szmerem ze szkatuły do szkatuły,

jak brylanty! Możemy za to wywrócić się i toczyć po ziemi, niby beczki.

I pnie malachitowe, wywróciwszy się z trudem, potoczyły się natychmiast po ziemi, niby beczki.

Teraz dopiero pojął Ali-Baba, skąd taka jasność panuje w jaskini. Brylanty, turkusy, topazy, korale i dukaty, rozgrzane tańcem i zabawą, iskrzyły się i płonęły oślepiającym blaskiem. Z brylantów wydobywał się blask brylantowy, z turkusów – turkusowy, z topazów – topazowy, z koralów – koralowy, a z dukatów – dukatowy. I wszystkie te blaski napępniały jaskinię. Widno tu było i tęczowo, i złociście, i cudownie! Nawet pnie malachitowe, tocząc się aż do zmęczenia po ziemi, nabrały zielonego połysku i też rozjaśniały wnętrze jaskini słabym zielonawym światłem.

Długo stał w miejscu Ali-Baba, olśniony widokiem tych dziwów i cudów. I dwa jego muły też stały nieruchome i wpatrzone w tęczowe światła tajemniczej jaskini.

Upłynęło czasu ani mało, ani wiele, jeno tyle, ile właśnie upłynęło. Ocknął się Ali-Baba ze swego zachwytu i oczarowania i pomyślał, że, póki czas, trzeba jaskinię opuścić, bo zbójcy każdej chwili⁷ mogą powrócić i zastać go wśród swoich skarbów. Ponieważ te skarby stały się już zaklęte i zamieniły w bajkę, więc należały do każdego, ktokolwiek do bajki zbliżyć się i przedostać potrafił. Toteż Ali-Baba postanowił część tych skarbów zabrać z sobą do swojej ubogiej chaty. Znalazł w jaskini dwa worki,

⁷ *każdej chwili* – dziś: w każdej chwili. [przypis edytorski]

napełnił je dukatami, objuczył workami swe muły, skierował się ku wyjściu jaskini i znów zawołał:

„Jest tu brama w skale,
I są czary w bramie!
Ku swej własnej chwale
Otwórz się, Sezamie!”

Sezam się natychmiast otworzył. Ali-Baba wraz z mułami wyszedł z jaskini na polanę leśną. Sezam sam zamknął się za nim.

Był już wieczór. Chłodnawy wieczorny wiatr wiał po lesie. Wiał i pachniał kwiatami i wilgotną ziemią. Słońce zachodziło, a ponieważ słońce zachodzące świeci purpurowo, więc pomiędzy pniami drzewnymi widać było purpurowe blaski zachodzącego słońca.

Ali-Baba zerwał kilka gęstych gałęzi i zasłonił nimi worki na grzbietach mułów. Nikt by teraz nie zgadł, że muły dźwigają worki, pełne dukatów. Każdy by pomyślał, że Ali-Baba wraca do domu z wiązkami chrustu na podpałki.

Słońce zachodziło coraz szybciej. Na świecie było coraz ciemniej i coraz wieczorniej. Roje komarów krążyły w powietrzu i tak nieustannie brzęczały, jak gdyby grały na bardzo małych, lilipucich skrzypeczkach.

Ali-Baba, wesoło pogwizdując, wracał do domu. Gdy się zbliżył do swojej białej chałupy, wziął na plecy obydwie wory, pełne dukatów. Z jednego wora garść dukatów wysypała mu się

na ziemię. Ali-Baba pozbierał dukaty i, nie mogąc sobie inaczej poradzić, włożył je wszystkie do ust, tak że mu się policzki odeły⁸. Z odeętymi policzkami wszedł Ali-Baba do chałupy. Zobeida była właśnie zajęta gotowaniem wieczery. W chałupie płonęła lampa oliwna i światło od lampy migało na białych ścianach i na białym suficie. Zobeida, ujrawszy swego męża z dwoma worami na plecach, zawołała:

⁸ *odeć* – dziś częściej: *wydać*. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.